



P O W R Ó T !

*Daleki byłem, gdyś z grobu powstała,
O Polsko moja, o Matko Serdeczna;
Do Ciebie idę, Promienna i Biała,
I wołam: „Wieczna!”*

*Daleki byłem, gdyś mężnie walczyła
Z dzikim najeźdźcą, Bramo Europy;
Idę całować, o Ojczyzno miła,
Twe krwawe stopy!*

*Idę całować Twe rozkute ręce,
Idę przeniknąć w Twe Serce ogromne;
Przytul nas, Matko, po wygnania męce,
Dzieci bezdomne!*

*Oto zmożone bólem, mrozem, głodem,
Z sercem, co tęsknot jedną wielką blizną,
Wezwij nas, zabierz i połącz, z Narodem,
Mia Ojczyzno!*

*Staniemy wszyscy, jak jeden, do pracy,
Wiosnę Ojczyzny czując, — na wyraju
Z nadłamanymi skrzydłami, błędni ptacy,
Wrócim do Kraju.*

*Może mi umrzeć przyjdzie w ciężkiej drodze
Do Ciebie — Polsko moja, Ty Słoneczna,
W chwili konania, umęczony srodze,
Zawołam: „Wieczna”!*

BOŻYMIR
Kazań, Sierpień 1921 r.

SPRAWA KOBIET — URZĘDNICZEK.

Nie jestem feministką. Nie byłam nią nigdy. W rządzie różnych kwestji, które mnie kiedykolwiek, jak to mówią, pasjonowały, nie było — przyznaję to otwarcie — t. zwanej kwestji kobiecej.

Nie dlatego, bym nie uznawała jej istnienia i znaczenia. I nie dlatego bym wątpiła kiedykolwiek o nieubłaganej konieczności zupełnego i bezwzględniego równouprawnienia kobiet. Można się bowiem, sądzę, sprzeczać i walczyć już tylko o tempo tego procesu o równouprawnienie, nie podobna odwrócić ni przeciąć samego procesu, który w oczach naszych się dokonuje i prędzej czy później, z przerwami lub bez, dokonać się musi do końca.

Ale dlatego, że po pierwsze, zachodził ten fakt poprostu, iż osobiście reagowałam silniej i żywiej na zagadnienia inne, szerszej i ogólniejszej natury. Po drugie, faktycznie, metody walk feministycznych nie zawsze trafiały mi do przekonania. Pod tym względem stoję na stanowisku, któremu znakomity wyraz dał np. p. Feliks Brodowski, kiedy, mówiąc o kobiecie — pracownicy, powiada:

„Ktoś gdzieś spiera się o jej prawa. Ona tymczasem pracuje. I skoro praca, której się dotknęła, płynie z niej w sposób prosty, naturalny i konieczny, jak źródło, które trysnąć musi bez względu na zatykający je palec lub szmatę, — więc gadania o jej prawach są zwykłą kołowacizną bezwładu, którego zawsze to boli, gdy coś płynie, tryska i odbiega od niego“.

W tych paru zdaniach zawarte jest również jedynie racjonalne rozwiązanie problemu, który wskazany jest w tytule artykułu niniejszego, a który odpowiednio rozwiązać należy ze względów, nie feministycznych wcale, ale ze względów sprawiedliwości i użyteczności publicznej.

Nie ulega wątpliwości, że „kwestja“ kobiet — urzędniczek istnieje i to nietylko w Polsce, ale i w Europie całej. Jest to jedna z kwestji typowo-powojennych. Wynikła ona stąd, że, gdy w czasie wojny przeciętny ogół mężczyzn poszedł do wojska, miejsca ich w różnych dziedzinach pracy, a więc także w urzędach, objęły masowo kobiety. Dziś wojna się skończyła, i zarazem skończyła się zastępcza rola kobiet. Ich współzawodnictwo ze względów ekonomicznych musi wydawać się mężczyznom zbyt niebezpiecznem, aby mogli nie rzucić teraz hasła bądź zupełnego usunięcia kobiet z urzędów, bądź postawienia im granicy czy to na punkcie ich liczby, czy też — dalszych dla nich awansów. W myśl słowem znanej maksymy: murzyn spełnił swoją powinność, murzyn niech idzie precz.

Jednakże w demokratycznym społeczeństwie nowoczesnem, w kraju, gdzie kobieta, politycznie zupełnie równouprawniona, dopuszczona jest, na równi z mężczyzną, do najwyższych możliwie funkcji prawodawczych, zasadnicze rozstrzygnięcie w myśl hasła powyższych jest gorzej niż anachronizmem, jest — niedorzecznością.

Nie mogąc też, bez sprzeczności z konstytucją, w tym duchu rozstrzygnąć sprawy w zasadzie, postanowiono rozstrzygnąć ją w praktyce, nie troszcząc się o zasady, — a to w myśl starych wypróbowanych wzorów... rosyjskich, poprostu „administratywnym porządkiem“.

I wydano znane już dziś powszechnie, instrukcje „tajne“, aby 1) przy redukcji personelu urzędniczych usuwano przede wszystkim (bez względu na kwalifikacje) kobiety, 2) by za górną granicę awansu dla urzędniczek, nawet wykwalifikowanych, uznano rangę VII, gdy dla urzędników ograniczeń w awansie nie wprowadzono żadnych.

Prasa warszawska wszystkich odcieni — że wymienimy tu np. „Gazetę Poranną“, „Rzeczpospolitą“, „Kurjer Polski“, „Robotnik“, — potępiła jednogłośnie te instrukcje, jako i niesprawiedliwe i bezsensowne. „Gazeta Poranna“ podkreśliła, że wedle konstytucji — kobieta w Polsce może zostać i ministrem i prezydentem ministrów, czyli osiągnąć i pierwszą rangę nawet. „Kurjer Polski“ słusznie stwierdził, że cała sprawa postawiona została w niewłaściwej płaszczyźnie, bo wśród urzędniczek, zupełnie tak samo jak wśród urzędników są pracownicy i źli i dobrzy. I nie płeć, ale wartość pracy, ale indywidualna zdolność i kwalifikacje pracownicy, zupełnie tak samo jak pracownika, rozstrzygać powinny o awansie, bądź też — w razie ujemnej oceny — o usunięciu danej jednostki.

Odrzuć stwierdzić należy, że, kiedy się nawet zastosuje to właśnie, jedynie w tym wypadku wskazane kryterjum, wówczas i tak znaczna ilość, może nawet znaczna większość kobiet, obecnie zatrudnionych w urzędach, skazana będzie na usunięcie. Stwierdźmy jednak zarazem, że usunięte będą wtedy z urzędów przeważnie te tylko kobiety które wogóle nie powinny były tam się znaleźć, a które się tam znalazły dzięki jedynie protegującym je... mężczyznom. Otóż raz stanowić urzędniczkami kobiety, niewykwalifikowane potemu, dlatego tylko że są... kobietami, a usuwać następnie inne kobiety, wykwalifikowane, też dlatego tylko, że są... kobietami, to jest logika, którą trudno nazwać „męską“ w dodatkiem tego określenia znaczeniu, — bo to znaczy poprawiać jeden błąd drugim błędem, to znaczy... brak kwalifikacji do kwalifikowania wogóle.

dem, to znaczy... brak kwalifikacji do kwalifikowania wogóle.

Tembardziej, że owa mniejszość, owa, powiedzmy, nieliczna bardzo mniejszość urzędniczek wykwalifikowanych, to są, wedle zgodnej opinji zwierzchników, pracownice bardzo zdolne, chętne i sumienne, które często odrabiają pensum, i za siebie, i za swoich, — starszych nieraz rangą i poborami a mniej pilnych i zdolnych — kolegów. Otóż Polska z pewnością nie cierpi na taki nadmiar funkcjonariuszy sumiennych, ideowych i uzdolnionych, by mogła sobie pozwolić na uszczuplenie ich zastępu, przy jednoczesnem zatrzymaniu całej masy innych, mniej gorliwych i mniej zasłużonych pracowników, i to tylko dlatego, że tamto są kobiety, a to są mężczyźni...

Niesprawiedliwość ta i niedorzeczność w Polsce bardziej jaskrawą jest i uderzającą, niż gdziekolwiek indziej. Równouprawniona bowiem niegdyś zupełnie z mężczyzną, w obowiązkach obywatelskich w trudach i cierpieniach dla lepszej przyszłości, miałażby Polka dziś, gdy ta przyszłość nadeszła, zostać pokrzywdzona w obywatelskich swych prawach — i, mimo przyznania jej tych praw w teorii, zostać oszukana przez pozbawienie ich w praktyce? Nie ograniczona przedtem nigdy w prawie do poświęcania się i umierania za wolność, i za Ojczyznę, miałażby być ograniczona w prawie do pracy, do życia dla tej Ojczyzny, już wolnej?

Dla uniknięcia nieporozumień jeszcze jedno zastrzeżenie. Najszerszy ogół kobiet niewątpliwie nie jest jeszcze przygotowany do pełnienia odpowiedzialnych jakichś funkcji obywatelskich, czy urzędniczych. Należy też do kandydatek (tak samo zresztą jak do kandydatów) do stanu urzędniczego, stosować pewien — względnie wysoki — nawet — cenzus umysłowy i moralny. Ale kobiety, które cenzusowi temu odpowiadają, winny być traktowane na równi z mężczyznami. Równość obowiązków winna pociągać równość praw. Za jednaką zasługę winna przypadać jednak nagroda.

Napoleońska zasada „carrière aux talents“, — tak ważna przy doborze pracowników w Polsce współczesnej — winna w stosunku do kobiet obowiązywać zupełnie tak samo jak w stosunku do mężczyzn. Tylko wtedy stanie się zadość względem użyteczności i potrzeby społecznej. I sprawiedliwości także.

Irena Pannenkowa.

OKRES DOJRZEWANIA W ŻYCIU DZIECKA.

(DALSZY CIĄG).

W wieku dojrzewanja rozumie więc dziecko doskonale wartość moralną uprzejmości i poświęcenia, których jest obiektem, lecz egoizm nie pozwala mu cnót tych samemu praktykować. Jest zresztą rzeczą dowiedzioną, że uczucia altruistyczne powstają jedynie u osób, których inteligencja dosięgła wyższego poziomu.

Słusznie mówi Mendousse, że wiek dojrzewanja jest stosunkowo mniej rozumny, niż wiek dziecięcy, lecz z pewnością nie- skończenie więcej rozumujący. Młódzież, spostrzegłszy wzajemny stosunek idei, sądzi, że odkryła skarb mądrości, napawa ją to radością i jest powodem istnej *manji rozumowania*. Między rozumowaniem a zrozumieniem tworzy się jednak w tym wieku aż nazbyt łatwo przepaść wielka. Spro- wadzenie równowagi winno być wielką troską wychowawcy. Sam proces rozumowania jest dla młódzieży rozkoszą, chętnie też rozstrząsa ona wszelkie teorie, najchętniej ostatnie, najnowsze, co nie przeszkadza jej w życiu codziennym sądzić o wszystkim pod wrażeniem chwili, podziwiać lub potępiać krańcowo. W dysputach i dowodzeniach nie chodzi o to, aby dowiedzieć się, co jest prawdziwe, sprawiedliwe i potrzebne, lecz o to, aby dowieść, że własne zdanie, własna zasada jest jedynie prawdziwa.

Wiek dojrzewanja żywi wielki *szacunek*, dla wiedzy i rozumu. Nie lubi jednak wchodzić w szczegóły, zadawania się ogólnikami i wierzy w możliwość wszechwiedzy. Wierzy w to, że rozum ludzki zdolny jest rozświetlić wszystko, co nieznanie w świecie i niezbadane. To też gdy nowa nauka, lub myśl filozoficzna zdaje się rozświetlać zagadkę bytu, to pierwszych zwolenników zyskuje sobie w młódzieży. Zarówno nauka jak i *dogmat* są przez wiek młódzieńczy jednakowo poważnie traktowane, nawet gdy następują po sobie w krótkich odstępach. Dzieje się to na skutek niesłychanie szybkich reakcji, inteligencji i życia.

W swem nienasyconem pragnieniu wiedzy młódzież zwraca się do *książek*, nie mając osobistego zasobu doświadczenia, szuka w niej odpowiedzi na tysiące kwestji naukowych i życiowych, nurtujących w niej. Wszystko w książkach jest dla niej nowe i w jej pojęciu pewne. Tak pewne, że zaczyna reagować na życie w takich formach, jakie jej są znane z książek. Rzeczy czytane, formuły książkowe są jakby ramami, w które ona życie wstawia. Ponieważ nie ma jeszcze zdolności do nawiązywania swoich myśli do faktów konkretnych, umysłowość jej przybiera charakter literacki, *abstrakcyjny*, sprawia, że jest mało uzdolniona do czynu i wprowadza rozdźwięk z życiem realnem.

Niewątpliwie wzmaga tę abstrakcyjność i *wybujala wyobraźnia*, właściwa temu wiekowi.

Rozważmy z kolei główne jej przejawy. Podczas gdy wyobraźnia małego dziecka zaludnia otaczający je świat realny swemi tworam, wyobraźnia w wieku dojrzewanja ma zgoła inne podłoże; rozwija się ona na tle świata wewnętrznego, duchowego, który powstawać zaczyna. Dziecko nie umie zdać sobie sprawy, ani z powodów, ani ze skutków swoich nowych przeżyć wewnętrznych, więc usiłuje badać je i tłumaczyć na podstawie własnej wyobraźni. Na jej skrzydłach młódzież przeżywa to, czego jeszcze nie zna, a co przeczuwa.

Zdawać by się mogło, że wskutek prze- wagi życia duchowego, dziecko w tym okresie powinno być mało czułe na *wrażenia zewnętrzne*. Tak jednak nie jest. Zmysły wykazują wielką wrażliwość, a zatem i wrażenia odbierane za ich pośrednictwem są nawet dokładniejsze, niż u dzieci i są subiektywne w przeciwności do obiektywności tych wrażeń w okresie dzieciństwa. Zwłaszcza wzbogacają się wrażenia wzrokowe i słuchowe. Około 16 lat określanie odległości na oko dosięga maximum dokładności. Poczucie barw jest tak wielkie, że gama kolorów nabiera w tym wieku największej rozciągłości. Również ucho zdobywa największą subtelność pod względem kadencji, rytmu i akustyki. Z pośród zmysłów wzrok i słuch odgrywają największą rolę, są to zmysły, na których opierają się *sztuki piękne*. Należałoby więc sądzić, że młódzież w tym wieku posiada upodobanie i zdolność w kierunku twórczości artystycznej. W istocie jednak pojawiają się tylko upodobania i aspiracje artystyczne, nie zaś zdolność tworzenia. Jak wiemy, wybitne zdolności artystyczne, z wyjątkiem literackich, przejawiają się znacznie wcześniej. Wybujala wyobraźnia budzi tylko zainteresowanie sztukami pięknymi i pewne rozumienie ich, oparte na uczuciu. Natomiast łatwość techniczna, co widać w rysunkach, zmniejsza się w wieku przejściowym dzięki wyobraźni, która tworzy z młódzieży impresjonistów, pogardzających stroną techniczną i poważną obserwacją form.

Natura interesuje młódzież, jako tło i temat do marzeń, jako pole, po którym wyobraźnia bujać może. Piękno przyrody nabiera dla niej znaczenia symbolicznego. Gra barw i światła, tajemnicze nastroje przyrody wywołują smutek lub radość, są pełne symbolów i dostarczają wyobraźni bogatego materiału do przenośni i porównań. Wszystko, czem natura młode dusze natchnąć może, jest jednak wielkie i szlachetne. Życie naturą, poddawanie się jej urokom, budząc pewną dozę sentymentalności, budzi również piękno wewnętrzne i moc ducha. Młódzież zwykła też chętnie obcować z naturą.

Istnieje jednak rozrywka, którą młódzież przenosi ponad wszystko. Łatwo się domysleć, że mowa będzie o *książce*. W niej

szuka nie tylko rozwiązania zagadek życia, lecz także czystej bezinteresownej przyjemności. Zamiłowanie czytania jest tak powszechne, że jednostki nie posiadające, go, można uważać za pozbawione wyobraźni. Dziecko bowiem przeżywa niemal to wszystko, co czyta, zapomina zupełnie o świecie go otaczającym, tonie w obrazach, które wyobraźnia w czasie czytania rozsnuwa przed jego oczami. Przeżywa wszystkie nastroje po kolei, nawet najbardziej sprzeczne. Niekiedy wyobraźnia młódzieńcza szuka ujścia w próbach literackich. Przejawia się w nich zwykle świeżość wrażeń istot, które zaczynają patrzeć na życie subiektywnie. Prawdziwe zdolności poetyckie i literackie są jedynymi zdolnościami artystycznymi, według Mendousse'a, a które objawiają się najczęściej w okresie dojrzewanja; nigdy przed tem. W utworach ujętych w formę pamiętników, lub dzienników, młódzież zwykła utrwalać swe duchowe przeżycia, marzenia, rozczarowania i smutki.

Mało bardzo jednostek w wieku dojrzewanja jest zadowolonych ze swego losu. Gdy postaramy się skłonić je do ścisłego określenia istoty wymarzonego szczęścia, spostrzeżemy z łatwością, że mają one bardzo niedokładne o niem pojęcie i że z pośród sposobów zdobywania go, zazwyczaj jedno wykluczają drugie. Najinteligentniejsze jednostki zdają sobie sprawę z tej nierealności, lecz poddają się mimo to, szczęśliwie, że to coś niezwykle pięknego mogą realizować choćby w myśli. Przedmioty marzeń młódzieńczych zmieniają się szybko. Aż nazbyt często, gdy młódzieniec usiłuje marzenie swe realizować, natrafia na fizyczne lub moralne trudności. Przy głębokiej wrażliwości, właściwej temu wiekowi, zawody takie są niekiedy powodem *melancholji*¹⁾. Stan ten, zwłaszcza u natur delikatnych, subtelnych jest zjawiskiem normalnem wieku przejściowego. Wszak w żadnym innym wieku dysproporcja między pragnieniem, dążeniem, a możliwością nie dosięga tak wysokiego stopnia. Według Lemaitre'a linja melancholji, rozpoczyna się w 11 roku, raptownie wznosi się do lat 15, dosięga szczytu w 17-ym i opada do 23-go roku.

Melancholja ta bywa jednak niekiedy tak silna, że młódzież myśli o *samobójstwie*²⁾. Myśl ta rzadko bywa w czyn wprowadzana, dzięki szybkim przejściom od szczytu zwątpienia do nadziei, właściwym temu wiekowi. Tam gdzie warunki życiowe nie sprzyjają rozproszeniu się tego stanu przygnębienia, a charakter szlachetny nie pozwala zmor nekających utopić w ekscjesach, wytwarza się ostry stan trwały, prowadzący istotnie do samobójstwa.

¹⁾ Mendousse. L'âme de l'adolescent.

²⁾ J. Lemaitre. La vie mentale de l'adolescent. (d. c. n.) A. Sobolewska.

CEZARY ŁAGIEWSKI.

PAN ANDRZEJ I MARGRABIA.

(DALSZY CIĄG).

Henryk Radziszewski w swej monografji o Banku Polskim mówi dużo o trosce dyrekcji Banku o przemysł rodzimy. Już w samym zaraniu działalności tej instytucji odbywały się w tej sprawie narady z przedstawicielami Komisji Spraw Wewnętrznych. Miało to miejsce w dniu 7 maja r. 1829. „W naradzie tej brali udział ze strony Komisji Spraw Wewnętrznych dyrektor wydziału przemysłu i kunsztów, radca stanu Radoszewski oraz referendarz stanu hr. Zamoyski, Jaźwiński i Łaszczyński“. Na posiedzeniu tem wielokrotnie zabierał głos Zamoyski, co wskazuje, że z delegatów komisji najlepiej był ze sprawami przemysłu i kunsztów obznajmiony. Brał on także udział w obradach nad etatem Komisji Spraw Wewnętrznych (w dniu 15 października 1830 r.) „Na posiedzeniu tem, oprócz naczelnych władz Komisji Przych. i Skarbu oraz radcy stanu Mozowskiego zastępującego dyrektora kontroli, obecni byli z ramienia izby obrachunkowej Wasilewski, a ze strony Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji: radca stanu Koźmian, referendarz stanu nadzw. hr. Zamoyski i Kozłowski“ *) Komisja Spraw Wewnętrznych upominała się wtedy, prawdopodobnie na żądanie Zamoyskiego o zasilanie pożyczkami fabryk — a ceniono widać już wówczas młodego pana Andrzeja skoro już w r. 1829 dostał był on tytuł szambelana.

Ciekawą dla nas rzeczą jest zachowanie się Andrzeja Artura Zamoyskiego podczas powstania Listopadowego. Na ten okres jego życia rzucił nieco światła Aleksander Kraushar przez wydanie pamiętników, do epoki tej odnoszących się, piórem samego „pana Andrzeja“ skreślonych.

Już Władysław Zamoyski, mówi, że ojciec ich „zwykł był, zwłaszcza przed synami wyrzekania uśmierzać, niedostatki tłumaczyć, całe położenie z lepszej strony przedstawiać, rad przekonać wszystkich, a przede wszystkim synów, że najważniejszą rzeczą przywrócenie narodowego politycznego życia i że gdy to polacy choć w szczupłym zakresie otrzymali, każdy winien pracować nad dobrem ogólnem, niepoprzestając na wytykaniu niedostatków położenia! Te same zasady wygłaszał i wuj Andrzej, Adam ks. Czartoryski. Andrzej czynnego udziału w powstaniu nie brał. Niemniej odegrał on pewną rolę na drodze dyplomatycznej. Uznano za wskazane wysłać na dwory Zachodnie przedstawicieli nieoficjalnych Polski. Andrzejowi Zamoyskiemu przypadła w udziale podróż do Wiednia. Udawał się tam dwa razy, narażając

się na niebezpieczne podróże, jako zastępca ministra spraw wewnętrznych — taką bowiem nominację otrzymał w dniu 5 grudnia r. 1830. Gdy jednak ministrem został Łubieński, Zamoyski powrócił na stanowisko dyrektora Wydziału przemysłu i kunsztów. Do Wiednia wyjeżdżał w wielkiej dyskrekcji, zaopatrzony w list do Metternicha, który go przyjmował jako siostrzeńca ks. Czartoryskiego i zbliżył do Tatiszczewa, posła rosyjskiego w Wiedniu. Tatiszczew zaś „dał się namówić do napisania listu do marszałka Paskiewicza, by skłonić go do zawieszenia kroków nieprzyjacielskich“. Z listem tym pan Andrzej pojechał osobiście w towarzystwie sekretarza poselstwa rosyjskiego. Gdy dwaj gońce przybyli na miejsce — Warszawa już się poddała. Paskiewicz chciał hr. Andrzeja rozstrzelać, a kiedy wyjawiał interesowanemu ten zamiar, otrzymał śmiałą odpowiedź, że niema do tego prawa. Ojciec Zamoyskiego przebywał wtedy w Petersburgu i za nieobecność słusznie zresztą, został wykreślony z listy członków senatu, co żywo bolało „pana Andrzeja“. Na pole bitwy raz tylko on wyjeżdżał pod Grochów (25 lutego r. 1831) ażeby „proch zwąchać i przypatrzyć się ogniowi“.

Wielopolski po powrocie do kraju zająć się musiał sprawami rodzinnymi i majątkowymi. W spuściźnie po ojciech przejął był też ciężkie bardzo na siebie obowiązki. Żeby zdać z nich sobie sprawę musimy cofnąć się wstecz, sięgnąć w przeszłość daleką i zastanowić się nad historją ordynacji Myszkowskich. „Powstała ona — jak pisze Lisiecki — pierwotnie z dóbr Piotra na Mirowie Myszkowskiego, biskupa krakowskiego, który wiele majątków z rąk inowierców wykupił i w nich służbę Bożą przywrócił“. Tenże Piotr na Mirowie Myszkowski „Pińczów po Oleśnickich nabył, dzieła sztuki gromadził, od Klemensa VIII papieża tytuł margrabiego, przywiązany do zamku Mirowa pod Księciem Wielkim otrzymał i wszystko synowcom przekazał“. Dwaj Myszkowscy, spadkobiercy biskupa: Piotr (wojewoda rawski) i Zygmunt (marszałek wielki koronny) przyjęci zostali przez Wincentego ks. Mantui dorodzinę Gonzagów. Oni to w r. 1603 ustanowili ordynację, która po wygasnięciu męskiej linii faktycznych Gonzaga-Myszkowskich przeszła wraz z nazwiskiem i tytułem w r. 1729 do rodziny Wielopolskich „w osobie Franciszka, wojewody sieradzkiego. Podczas sejmku czteroletniego Józef Wielopolski zapragnął ordynację obalić co mu się z czasem częściowo udało. Sprzedana została część majątków ordynackich. Miało to miejsce za czasów Księstwa Warszawskiego. Ojciec Aleksandra względnie on odziedziczyli tyl-

ko jako majorat Książ Wielki, Chroberz i Kozubów.

Młody margrabia uważał taki obrót rzeczy za nieprawny i po powrocie do kraju rozpoczął proces o odzyskanie terytoriów ordynacji, utraconych przez lekkomyślnego kuzyna a zagarniętych przez jego wierzycieli i doradców. Za czasów Królestwa Kongresowego sprawę przeprowadził przez dwie instancje. Sąd apelacyjny wydał wyrok na korzyść ordynata.

W r. 1827 Aleksander Wielopolski ożenił się po raz pierwszy z Teresą Potocką, córką Michała i wszedł do służby publicznej w charakterze członka deputacji prawodawczej, poświęcając się opracowaniu projektu sądownictwa gminnego i organizacji sądów wójtowskich.

Podczas powstania listopadowego wyjechał do Londynu, z polecenia Rządu Narodowego, ściślej mówiąc ks. Czartoryskiego. W Londynie podczas pertraktacji z Palmerstonem doszła go wiadomość o detronizacji cara Mikołaja I jako „króla polskiego“. Zakomunikował ją Palmerstonowi i przedłożył mu konieczność uznania niepodległości Polski.

Nic nie zyskał. Anglia dla sprawy naszej okazała się obojętną, a jak powiada Lisiecki „w późnych latach margrabia gdy mu czytano Pamiętniki Niemcewicza, który także w Londynie koło polskich interesów chodził, wspominał, ile bolesnem i upokarzającym było to domaganie się pomocy dla Polski, u ludzi o Polsce słyszeć nie lubiących“.

Po powrocie z Londynu Wielopolski nie zastał przy życiu ani żony ani dziecka — odwiedził w Chrzastowie teściową a następnie rannego pod Długosiodłem Tomasza Potockiego, którego przywiózł do Warszawy i z którym razem zamieszkał. Mianowany radcą stanu występował w sejmie jako mówca rządowy. Przyjmował udział w założeniu umiarkowanego pisma „Zjednoczenie“, w dniu 8 sierpnia r. 1831 Wielopolski obrany został posłem do sejmiku z Ziemi Grodzieńskiej. Na tem stanowisku zaskoczył go upadek listopadowej insurekcji.

Upadek powstania zamyka epokę Królestwa Kongresowego i otwiera ciężkie „rządy“ Paskiewicza. Andrzej Zamoyski opuszcza Warszawę i zaczyna gospodarować na roli na wziętych w dzierżawę dwóch folwarkach dóbr ordynacji Zamoyskich: Michałowie i Derzkowicach. Wypadki nie wykolejąją go wcale. Zaraz po sprowadzeniu się na wieś obejmuje on przewodnictwo w Radzie Szpitala w Szczepieszynie, a główne zajęcie rolnictwo również celowo i planowo kontynuuje.

(D. c. n.).

*) Radziszewski: „Skarb i organizacja władz skarbowych w Królestwie Polskiem“.

WANDA MIŁASZEWSKA.

SIOSTRA MIRIAM.

Drzwi celki skrzypnęły lekko, ale chora usłyszała szelest i usiadła na łóżku.

— Czy to siostra Amata? — spytała, wlepiając rozszerzone źrenice w gęsty mrok.

Z głębi ciemnego pokoju odpowiedziano:

— Nie, to ja, matka Perpetua. Matka Wielebna przysłała mnie, nie mogąc przyjść sama. Czy siostra spała?

— Nie.

— Czemu tu ciemno? Matka Wielebna zostawiła przecież świecę, żeby siostra mogła pomodlić się z książki, jeżeli nie zdoła usnąć. Czy świeca się już wypaliła?

— Zgasila ją sama, — odparła cicho siostra Miriam, kładąc głowę na wąskiej poduszce. — Myślałam, że usnę, ale nie mogłam... Czy to już bardzo późno, siostrze?

— Matko, — poprawiła zakonnica, szukając na krzeselku zapalek.

— Nie, niema tu zapalek! — rzekła wówczas Miriam. — Matka Wielebna zabrała je, wychodząc. Dlatego leżałam po ciemku. Czy to już bardzo późno, Matko Perpetuo?

— Za dwie godziny zadzwonią na jutrznię. Może siostrze co podać?

— Gdyby Matka była tak dobra i zapaliła światło?...

Matka Perpetua skierowała się ku drzwiom, zawadzając w ciemności fałdą habitu o klęcznik. Kroki jej rozlegały się jeszcze przez chwilę na korytarzu, potem nastąpiła znów głucha cisza. Siostra Miriam westchnęła i poczęła wsłuchiwać się w tętno własnego pulsu.

— Jak bije! Jak mocno bije... — szepnęła, licząc głuche uderzenia krwi, przepływające z serca do rąk wysmukłych i białych.

Kroki rozległy się znowu za drzwiami i weszła Matka Perpetua z ogarkiem świecy w lichtarzu. Postawiła światło na małym stoliku i zwróciła się ku chorej.

— Jakże się siostra czuje? — spytała, ale w tej chwili, dojrawszy silne wypieki i wielkie, ponad miarę rozszerzone źrenice, dorzuciła:

— Siostra ma znowu większą gorączkę.

Siostra Miriam uśmiechnęła się smutnie:

— Proszę niech Matka dotknie tylko pulsu! — I wyciągnęła ku niej rękę, z której zaniedbanie nie zdołało zatrzeć śladów niezwyklej piękności.

— Nie jestem lekarzem, — odparła spokojnie matka Perpetua, nie zwracając uwagi na ten gest, — pulsu liczyć nie umiem, widzę tylko, że siostra ma twarz rozpaloną.

— Och i twarz i całe ciało... — jęknęła Miriam, — ogień mię trawi. Zupełnie, jakby tam, wewnątrz piersi płonęło wielkie ognisko.

Stara zakonnica zwróciła się ku wyjściu.

— Matka odchodzi? — zwołała pośpiesznie chora, siadając na posłaniu.

— Chciałam przynieść siostrze coś do picia. Siostra musi czuć pragnienie?

— Nie, nie! Proszę, niech Matka zostanie! W kubeczku jest trochę wody... Niech Matka zostanie ze mną! Tyle czasu byłam zupełnie sama...

— Nikt z nas nie jest ani przez chwilę sam, — rzekła Matka Perpetua surowo, — bo zawsze jest z Bogiem.

— Tak... prawda... Ale, kiedy leżałam w ciemności, z ogniem, trawiącym ciało, miałam wrażenie, że i Bóg mię opuścił.

— Bóg nie opuszcza wiernych swoich.

— A jednak opuścił mię, opuścił! — zaprzeczyła namiętnie Miriam, składając suche i rozpalone ręce, jak do modlitwy: — Opuścił mię, chociaż modliłam się, aby pozostał ze mną... Tak strasznie się bałam! Przez okno padał odbłask księżyca... Czy księżyc świeci jeszcze, Matko? Sine, trupio światła poczęły snuć się po ścianach... Modliłam się i płakałam... Zmówiłam wszystkie modlitwy, jakich mię nauczono od dzieciństwa i te, które nieuczenie z ust płyną... A przecież Bóg nie przychodził i czułam, jak bardzo jestem sama w tej pustej celi, z bladymi cieniami księżycowego światła na ścianach... Matko Perpetuo! Matko Perpetuo!

— Czego siostra tak krzyczy? Siostra rozbudzi cały dom! Siostra jest chora i powinna starać się usnąć, polecivszy się opiece Boskiej. Jeżeli siostra będzie tak głośno wołać, pójdę sobie.

— Nie, nie... — przerwała z lękiem Miriam. — Niech Matka nie zostawia mię samej!

Po chwili milczenia, przerywanego szepcetem starej zakonnicy, odmawiającej różaniec, zaczęła nieśmiało, jakby do siebie tylko:

— To tak smutno leżeć w celi wilgotnej i wybielonej, jak grób... Nie widziałam, że można tak tęsknić za ludźmi i słońcem... Ja wiem, Bóg jest wszędzie, lecz mi się zdaje, że chętniej przebywa na polach, zalanych potokami światła, wśród zieloności, która pije rosę poranną, niż tutaj w murach głuchych, w ciemnicy, ziejącej stęchlizną... Bóg kocha piękny swój świat, który stworzył... Oddzielił Jasność od Ciemności, powiedział: „Stań się Światło!” I stało się Światło... Blaski słoneczne zalały ziemię i wszystkie stworzenia żyjące złożyły hołd Panu, a z mroków śmieją się tylko szatani, wrogowie słońca... O Jezul! Zamknęto mię w tej celi ciemnej i pustej... Dlatego tak bardzo się boję... — ...teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen — przesunęła Matka Perpetua ziarno różańca. — Grzech słuchać, co siostra wygaduje. Pacierze by lepiej mówiła siostra.

— Ja mówię pacierze, Matko. Czy konieczne trzeba powtarzać słowa z książek nabożnych, by wielbić Boga? Bóg jest dobry nieskończenie i każdą modlitwę zrozumie, gdy zechce...

— Od tego, co siostra mówi, krok tylko do herezji. Grzech słuchać nawet! Siostra ma gorączkę, majaczy widać...

— A tak, mam gorączkę, majaczę, Matko Perpetuo! O, proszę dotknąć moich rąk, jakie rozpalone!

— Prawda, — przytwardziła tamta, niechętnie dotykając wyciągniętych ramion, które nawet przez grube płótno koszuli, sięgającej aż po kciś, zdawały się palić żywym ogniem.

— Całe ciało w płomieniach! — powtórzyła znów Miriam, żałośnie. — Jestem bardzo chora, Matko... Może umrę? — utkwiała nagle rozjarzony wzrok w zwiędłym obliczu zakonnicy.

Matka Perpetua pokiwała głową posępnie:

— Wszystko jest w ręku Bożem. Dlatego modlić się trzeba każdej godziny o śmierć szczęśliwą. Zbawiciel pozwoli, by siostra doczekała chwili, w której wilebny Kapelan z Panem Bogiem...

— A! Więc mogę umrzeć niedługo!... Umrzeć... umrzeć!... — powtórzyła siostra Miriam, jakgdyby starając się zrozumieć to słowo. Po chwili szepnęła spokojnie, niemal z rezygnacją:

— Chciałabym przynajmniej dożyć do rana, umierać we dnie, wtedy, kiedy jest słońce... Matko Perpetuo, w tej celi jest tak brzydko nocą, a o świcie pada przez okno ukośny promień słońca, o, tam, na lewo! Jedyny promień, który prędko gaśnie, bo słońce przesuwają się ku górze i opuszcza na cały dzień zakratowane okienko...

— Będzie, tak, jak się Panu Bogu spodoba. Siostra zawiele myśli o sobie.

— Tak, tak, to prawda. Zawiele myślę o sobie... Czy Matka nigdy nie pomyślała o sobie, odkąd jest w klasztorze?

— Nie wiem... odparła zakonnica niepewnie, — staram się... starałam się nie myśleć...

— Ile lat Matka jest tutaj, za kratą?

— Trzydzieści dwa lata służę Panu Bogu. Siostra Miriam westchnęła głęboko.

— Niech mi Matka, proszę, poprawi trochę poduszkę... Ciężko mi oddychać. O tak, dziękuję...

— Trzydzieści dwa lata! — szepnęła po chwili. — Trzydzieści dwa lata! To długo... Strasznie długo. A ile matka miała lat, wstępując?

— Dwadzieścia. Możebyśmy, siostrze, zmówiły razem litanję do Serca Jezusowego? Widzę, że siostra może mówić z łatwością.

— Rozmowa mię nie męczy, tylko myśli. Dobrze, zmówmy litanję. Ale przedtem chcę spytać jeszcze o jedno: Matko Perpetuo... czy wówczas, przed trzydziestu laty, Matka czuła wszystko tak samo jak teraz?

— Nie rozumiem siostry. O co chodzi?

(D. c. n.)

JADWIGA MARCINOWSKA.

W POŻODZE EUROPY.

(DALSZY CIĄG).

Gdybyż to człowiekowi los w swoim czasie dał podobnego chłopaka! Zgodziłbym się i na takiego jak Falkiewicz! Kończył z uśmiechem. Chłopczyśko ocieężało cokolwiek, lecz w każdym razie byłby syn i towarzysz i na starość, panie, podpora!

Falkiewicz potakiwał, prostując żartobliwie swoje barczyste ramiona. Obaj z Witoldem używali wczasu w miłej gościnie: dziewczęta były ładne, lato królowało w złotym słońca rozlewie, przed domem w obliczu roześmianego zgielku nawpół dzikiego kwiecia stał, pielęgnowany umyślnie, dość młody gaj dębowy i szumiął dumkę wołyńską podobną do perlistego szeptu wody deszczowej, któraby w przedziwnym sposobie niewidzialnie spływała z niebios jasnych pogodą. Nieopodal — za poważnym lasem sosnowym na zielonych łąkach Horyń wił się w wielorakich zakrętach, jak wstęga o połysku modrym i migotliwym...

Lato szło koleją dni gorących i cudnych, a młodzi bawili się w swobodnym zespole. Panny pozwalały Witoldowi na lekką poufałość, zabarwioną jakby odcieniem braterskiego miłego prawa. Rodzonego brata nie miały nigdy, a jedyny ich bliższy krewny, cioteczny Janusz Trepka, o wiele od nich starszy i nieledwie nieznany, podróżował oddawna po świecie i ostatnio zawieruszył się kędyś aż pod równikiem, w Indjach, czy na Cejlonie. Witold jako siostrzeniec stryjenki a więc niemal domowy i rzekomo powinowaty sięgał po miejsce wolne i przywilej zbliżenia, którego — nie odmawiano, albowiem brał się do rzeczy z pewnym wdziękiem zuchwałym i wesołością młodzieńczego temperamentu. Falkiewicz niby trochę zazdrościł, niby rywalizował, bywało ztąd pełno śmiechu. — Zosinka trzymała się towarzystwa jak nieszkodliwy przydatek. Odbywali przechadzki długie, jak godziny wczesnego szczęścia, w których słońce do zenitu idzie rozkosznie złocistymi krokami. Włoczyli się wpośród sosen wysokopiennych i smukłych i wzdychających u góry przepływami szumu narodzonego daleko, aby zginać również w oddali. Wędrowali po łąkach mokrych i trzęsawiskach, gdzie niezabudki błękitniały w gęstych skupieniach i gdzie przeskakując z kępy na kępę, dostać się było można na miejsca wyższe niby wysepki tajemnicze, zacienione w opiece stróżujących olch i jaworów, a u dołu porośnię cudnie bujną leśzczyną. Broczyli w trawach ponad brzegiem Horynia, zdobywając czasami łódkę, którą puszczali się z biegiem rzeki; uderzenia wiosel i gamy młodzieńczych głosów wpadały w spokój rozciągnięty nad cichym krajem, który w słońcu lipcowym śnił niezbadany sen swój o przyszłości odległej, niezapisanej jeszcze w żadnym z przeczuć człowieka.

Falkiewicz z całego grona najczęściej zwracał uwagę na Zosinkę, rzucając jej jakieś żartobliwe, przyjazne słowo; zresztą w złotej letniej pogodzie rysowały się już świetliście smugi upodobań i marzeń, po których myśl Witolda biegła do Zity a Tadeusza — aczkolwiek powolniej — do Rućki. Dziecko przyglądało się temu, nie dając poznać po sobie, czy rozumie. Może przeżywało nastrój podobny do tego, w jakim pograżał ją zapach kwiatów, kiedy twarz swą wtulała w rozbujane bogactwo floksów, gwoździków i lewkonji pod ścianami cichego domu.

Lato biegło godzinami łaski słonecznej i woni łąkowych ziół, a jednakże stopniowo w piękności tej przejawiać się poczynano coś ogromnie dziwnego. Jakiś ciężar spadał na serce uciskiem zgoła nieznanym. Niepodobna było określić chwili, w której kędyś na świecie pod stropem nieprzejranych, przeczystych niebios w tajnikach przyrody czy przeznaczenia narodziła się rzecz bezimienna, wyrastająca stopniami w brzemie, osuwające się na myśli i uczucia. W pełnym świetle dnia rozkosznego doznawało się nagle smutku bez widomej przyczyny, w ciszy borów uśpionych doznawało się niepokoju. Bywało duszno, choć nie zbierała się przecie burza. Niekiedy głębinami lasu przechodził wiatr i przepadał. — W przejściu zaszamotał sercami jakby to były liście strwożone, a gdy poleciał i zginał, serca były jeszcze lękiem bez racji, uderzeniami, po których pozostawało zamięcenie.

Myśli zestrajać się już nie chciały w żaden zespół radosny, jak ptactwo raptownie ocieężało, nie dźwigały się do wolnego lotu.

Młodzi odczuwali to na zabawach, nie dających się już ożywić tak niedawnym powabem, aczkolwiek las pozornie szumiął pieśnią tą samą i pachniały łągi i Horyń płynął w wielorakich węzowych skrętach, połyskując wstęgą modrą i migotliwą. Zrywały się chęci i opadały zagnęta bez sił, wznosiło się westchnienie do szczęścia, które uprząść potrzeba, ale oto nici złociste rozpraszają się w potarganiu, z przepaści duszy głowę podnosił smutek... Było złudzenie niepewności pod stopą, jakgdyby drżała ziemia...

Starsi przechodzili coś podobnego w pośród zajęć w ścianach domowych, albo przy gospodarstwie na polu. Nie wiązała się im praca również jak tamtym nie zakwitała w pełni miłość wysniona; przeskadzało coś niepojęcie, brzemie tłoczyło piersi, nerwy dygotały w rozstroju.

Nie powiadali jedni drugim, co czują; przez czas pewien nie mówił o tem nikt jawnem słowem, ale duszno stawało się w otoczeniu, choć nie widziały oczy, aby

gdziekolwiek na jasnym świecie zbierała się nagle — burza. —

Horyń płynął, migocąc w słońcu drobną łuską modrawą; na zielonym łęgu skręty jego świeciły w fantastycznym zygzaku, jakby szedł i powracał, jakgdyby żał mu było porzucać miejsce kochane. Tu i owdzie, bliżej i dalej wznosiły się na błoniach pachnące stogi siana. Z wysokiego nadbrzeżnego urwiska ogarnąć było można przestrzeń pełną smętnego czaru. Sosny przed stromą piaszczystą ścianą rozpościęrały dumne barki królewskie, sieć złocistych promieni przetykała ciemne igliwie. —

— „Panno Zito“...

Witold, nawpół leżąc na trawie, urwał z zawieszeniem głosu wyczekującym na zachętę lub zapytanie, zasię oczy jego obejmujące smukłą postać dziewczęcia, mówiły więcej niż to rzucone imię.

Ale Zita zdawała się nie słyszeć i nie domyslać; obrócona ku łące i Horyniowi, wyrzekła: „Pan nie wie, jaka legenda przywiązana jest do tego tu brzegu?“

I jęła opowiadać:

„Była ongiś dziewczyna“...

— „No, naturalnie“!... wtrącił Falkiewicz.

Zita ciągnęła dalej:

— I było dwóch kozaków, którzy się w niej z jednaką namiętnością kochali. Ona pomiędzy niemi miała serce niepewne, żadnego nie chcąc zmartwić i obu, zda się, jednakowo życzliwa. Więc umyśliła sposób, aby wybrnąć z kłopotu: — „Skaczcie na koniu poprzez Horyń, z tego oto urwiska; który dzielniej przeskoczy, ten mię weźmie jak swoją“.

Siedli na koń mołojcy: jeden gwiżdże wesoło: „Oj! pokażę dziewczynie!“ Drugi niespokojny był w sobie, bo mu duszę miłość rozpiera...

Pierwszy ruszył i skoczył; już po tamtej jest stronie... Drugi skacze z kolei, świat oddałby za lulkę... Już, już brzegu dosięga, a wtem koń się ośliznął kopytami przednimi... Czy zdało się kozakowi, że szczęście mu nie sądzone? Czy rusałka podwodna, zazdrośnica niesyta, pociągnęła go k'sobie w głębinę... Zaszamotał się krótko mołojec z przelekłym koniem i obaj poszli pod falę...

A dziewczyna z wysokości patrząca, gdy ten drugi tonął, poznała, za którym serce jej mówi... Nie krzyknęła i na ziemię nie padła, ale jednym ruchem rozpacz rzucała się w nurt Horynia...

I dlatego to miejsce nosi nazwę Skoczyszcz... —

Witold nerwowo powstał z murawy:

— „No! skaczmy, Tadeuszu!“

— „Hm!“ odmrunknął Falkiewicz. I zaśmiał się: „Czyż to konieczne?“

(D. c. n.)

TAJNA PRACA OŚWIATOWA W WARSZAWIE.

(DOKOŃCZENIE).

Wzór jest wypracowany — a niebezpieczeństwo dziś już nie grozi żadne.

Praca nauczycielek w tajnych szkołach kontrolowana była przez kierowniczkę tajnego nauczania oraz upoważniane do tego jej pomocnice. Przy końcu roku szkolnego odbywały się we wszystkich tajnych szkołach egzaminy i dzieci przeprowadzano do wyższego oddziału, lub niedostatecznie przygotowane zatrzymywano w poprzednim na rok drugi. Oczywiście nie wydawano dzieciom do ręki cenzur, ani żadnych piśmiennych dowodów popełnionego przez nie przestępstwa. Papiery wszelkie ograniczano do minimum i przechowywano w dobrze obmyślonem ukryciu.

Prócz pracy nad dziećmi, rozpoczęto wkrótce uścisłą pracę nad rodzicami. Posiedzenia rodzicielskie (każdej szkoły osobno) wytwarzały zbliżenie między kierownikami akcji, a ludnością, która z niej korzystała, dawały sposobność do propagandy idei niepodległości Polski, do rozpowszechniania nielegalnych książek i pism w rodzaju „Polaka“ „Kilińskiego“ i t. p., do rzucania i urzeczywistniania różnych dobrych projektów jak n. p. towarzystwa wstrzeźliwości od alkoholu i t. p.

Fundusze na tajne nauczanie płynęły z trzech źródeł: 1) opłaty od dzieci (z początku 15 kop. potem 50 kop. miesięcznie), 2) składki członków Towarzystwa Tajnego Nauczania. 3) Dochody niestałe (ofiary jednorazowe, dochody z zabaw, koncertów, odczytów i t. p.).

Niestety ostatnie to źródło było główną krynica zasilającą budżet Tajnego Nauczania.

Budżet ten w ostatnich latach przekraczał sumę 24 tysięcy rb. rocznie.

W ostatnich dwu latach istnienia, gdy już Tajne Nauczanie dla społeczeństwa polskiego stało się instytucją niemal jawną — zainteresował się tą pracą Henryk Sienkiewicz i przy pomocy p. Antoniego Osuchowskiego udzielił jej finansowego poparcia.

Praca Tajnego nauczania w Warszawie trwała od r. 1894 do r. 1906-7 to jest do chwili rozpoczęcia akcji oświatowej jawnej przez Polską Macierz Szkolną.

Jej to szkołom przekazano cały materiał dzieci i nauczycielek, zmuszonych dotychczas prowadzić pracę oświatową w ciasnocie mieszkań robotniczych, pod grozą więzień i zsyłki.

W pierwszym roku istnienia Tajnego Nauczania liczba dzieci korzystających z jego szkół wynosiła 250. W następnym roku wzrosła do 500. Potem już stale uczono 1500 do 2000 dzieci we wszystkich dzielnicach miasta.

Rezultaty tej kilkanastoletniej wytrwałej i, o ile to w warunkach ówczesnych możliwem było, nadzwyczaj systematycznie prowadzonej pracy, były bardzo poważne.

Ze szkółek tajnych wyniosły dzieci prócz wykształcenia elementarnego gorącą miłość Ojczyzny i nie tylko chęć ale i umiejętność opierania się przemocy, wyniosły umiłowanie światła i dobra. Zdolniejsze z pośród nich kończyły szkoły średnie i uniwersytety. Wielu chłopców życie swe oddało później za Ojczyznę. Wiele dziewcząt pracowało i dotąd pracuje z pożytkiem jako nauczycielki ludowe, ochroniarki i t. p. —

a wszystkie wzięły stamtąd choć promyk jaśniejszych wspomnień dzieciństwa uszlachetnionego walką z wrogiem Polski i wrogiem ich małych, sierocych duszyczek.

By napisać wyczerpującą monografię Tajnego Nauczania należałoby rozporządzać większą ilością miejsca, niż użyczono go na szpaltach „Bluszczu“ autorce niniejszego wspomnienia; należałoby też mieć dostęp do materiałów cyfrowych, corocznie przesyłanych przez p. Śniegocką, do Rapperswilu. Pamięć bowiem jest rzeczą zawodną, gdy chodzi o daty, cyfry i szczegóły pracy trwającej lat kilkanaście. Na razie przypomnieć tylko należało społeczeństwu wolnej Polski te czasy tak niedawne, a tak odmienne i postaci ofiarne bezgranicznie zarówno tej, co cały ciężar odpowiedzialności i największą część trudu wzięła na siebie, jak i tych cichych bezimiennych pracownic, co z jej natchnienia i pod jej kierunkiem niesły ludowi polskiemu promyki światła w okresie najczarniejszych narodowych nocy.

Napisał już jeden z naszych najznakomitszych pisarzy, że w Warszawie stanąć winien pomnik z napisem: *bezimiennej nauczycielce*.

Pomnik ten należałoby wznieść gdzieś w dzielnicy robotniczej na Powiślu, czy Woli. Niechby obywatele wolnej Polski mieli przed oczyma codziennie tę wątłą postać dziewczęcą, której ubogie sukienki wiatr zimowy mota koło nóg, — w rękę jej książki i zeszyty, w oczach — jasność promienna...

Bezimiennej Nauczycielce!...

Helena Ceysingerówna.

Po zgonie Andrzeja Niemojewskiego.

W nocy z dn. 2 na 3 listopada zmarł nagle na aneurizm serca redaktor „Myśli Niepodległej“, autor wielu pism z zakresu poezji, publicystyki i nauki, — Andrzej Niemojewski.

Nie było chyba człowieka w Polsce, któryby na dźwięk tego nazwiska pozostał obojętny. Wywoływało ono najróżnorodniejsze uczucia, przyjazne i wrogie, ale nad wszystkimi musiało górować uczucie podziwu. Podziwu dla talentu pióra, dla wszechstronności umysłu, dla potęgi indywidualności.

Nie było niemal dziedziny piśmiennictwa, w którejby Niemojewski nie odcisnął swego „ja“ naksztalt płomiennej pieczęci. Nie było zagadnienia z życia społecznego lub politycznego, którego by nie oświecił po swojemu i nie nagiął do swego pionu.

Potężny, nieokiełznany, jakby z zamierzchłej Polski sejmikowej szlachecki temperament kipiał w jego artykułach, przelewał się przez ich brzegi, porywał czytelnika, nie dając mu wytchnąć i oprzytomnieć.

Niemojewski był urodzonym mówcą z łaski Bożej i dlatego każdy jego utwór działał bezpośrednio na świadomość czytelnika, jak słowo żywe. Nie było tam nigdy półtonów, dyskretnych niedomówień między wierszami, przemilczeń, półsłówek. Były słowa z ognia i żelaza, płomiennymi głoskami ryjące się w wyobraźni.

Z tego wrzącego wulkanu, jakim był umysł Niemojewskiego, wyłaniały się jak lawa, twory coraz nowe, jego pojęcia ulegały ciągłym zmianom, stygły i krystalizowały się w coraz bardziej niespodziewane

formy, wobec których nawet nieprzeciętny czytelnik tracił głowę.

Zarzucono Niemojewskiemu, że często zmieniał przekonania, prawda! ale on umiał mieć odwagę swoich przekonań.

Dlatego jego „Myśl Niepodległa“, czytana w całej Polsce, wywołująca okrzyki zachwytu i aprobaty, zarówno jak dreszcze oburzenia i szmer krytyki, jest organem niezastąpionym.

Mamy dużo pisarzy głębokich, poważnych, cennych, ale publicysty tej miary, szermierza słowa tej skali, co Niemojewski, nie miała Polska chyba od czasów Stanisława Orzechowskiego, od złotego wieku Rzeczypospolitej.

St. Podhorska-Okolów.

OBCHÓD DANTEGO.

Uroczyscie, poważnie, z poczuciem doniosłości chwili, ze czcią należną Wielkim Przodownikom ludzkości obchodziła Warszawa 600-letnią rocznicę śmierci Dantego.

Zaczął się od Akademii organizowanej przez Senat Uniwersytecki wraz z zarządem miasta stołecznego Warszawy w d. 29 października w wielkiej sali na ratuszu.

Przemówienia prof. Jana Kochanowskiego, prezesa Ignacego Balińskiego, ks. dr. Władysława Szczepańskiego, dr. Bronisława Dembińskiego, i pośła Wład. Jabłonowskiego oraz śpiewy chóralne „Lutni“ wypełniły program. Ale czy to skutkiem fatalnej akustyki, czy braku jakiejś niecierpkości, wiążącej słuchaczy z mównicą, sala pozostała chłodna. Jakiś ciężar zawisł w powietrzu, jakiś tłumik tłoczył serca i mózgi.

Oficjalna, urzędowa uroczystość nie porwała nikogo.

W tydzień później, d. 5 listopada, akademii urządzana przez zjednoczone w komitet obchodowy towarzystwa literackie i artystyczne Warszawy.

Jakiż odmienny, innem, świeżem życiem pulsujący świat! W sali muzealnej Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, wśród arcydzieł polskiej plastyki, przed brązowym popiersiem Dantego (dar Włoch przywieziony przez prof. Mazzoniego) podało sobie zgodnie ręce wszystko, co Warszawa ma najwybitniejszego w świecie ducha, aby uczcić „altissimo poeta“, wielkiego twórcę Boskiej Komedji.

Pełne prostoty i polotu zagajenie Kazimierza Tetmajera, tego samotnego dziś orła na opustoszałej skale poezji polskiej, krótko, lecz umiejętnie wypowiedziana przez p. Julję Dicksteinównę apostrofa polsko-włoska, — tryskająca finezją, bogactwem szczegółów, barwnością interpretacji szkic Cezarego Jellenty, porywające, żywiołowe, jak wezbrane wody wiosenne, przemówienie Mieczysława Limanowskiego, rzeczowa rozprawa prof. Dicksteina o kosmogonji Dantego, — a to wszystko przeplecione wieńcem

fragmentów Boskiej Komedji, w interpretacji naszych najlepszych artystów i artystek słowa i rzucone na tło muzyki subtelnej i rzewnej, której przodowała harfa, jak westchnienie chórów dantejskich, płynących z zaświecia.

I gdyby zgromadzeni włosi mogli dokładnie zrozumieć tekst przemówień, wyculiby w nich nie tylko pokłon korny wielkiemu duchowi, nie tylko wielkopański gest, zmiatający pióropuszem polskiej sławy proch przed nieśmiertelną chwałą Dantego, ale uścisk bratni naszej wielkiej trójcy poetów, obejmujący skroś wieki gigantyczny cień florentyjskiego tułacza.

Ten uścisk był tak potężny, tak gorący, że porwał i zespolił całą salę, zgromadzenie harmonijne polskiej inteligencji, która ciężko walcząc z losem, wysoko wciąż dźwiga sztandar polskiego ducha.

Organizatorzy uroczystości rozwiązali niesłychanie zawiły problemat: zbliżyli nas pigmejów do olśniewającego słońca twórczości, nie pomniejszając olbrzyma.

W szczupłych, ale wytwornych ramach odbyła się uroczystość dantejska w Sekcji artystycznej Koła Polek, urządzającej stałe koncerty o g. 6-ej wieczorem w sali Klubu artystycznego w hotelu Polonia.

Młoda ta sekcja okazuje wielką żywotność. Miłe otoczenie, pełna wytwornej swobody atmosfera towarzyska tworzą z tych zebrań sobotnich środowisko bezpretensjonalne a pociągające.

Zgromadzona licznie publiczność wysłuchała w skupieniu podniosłej prelekcji prof. Cezarego Jellenty oraz produkcji artystycznych związanych z twórczością Dantego.

Całość zostawiła nader dodatnie wrażenie.

S. P. O.

MEBLI wykwalifikowanych i skromnych
olbrzymi wybór salonów, sypialni,
stołowych i gabinetów
poleca najtaniej
Magazyn mebli Plac Trzech Krzyży 13
róg Żorawiej. Tel. 110-83.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Dnia 26 listopada zaczyna się kursa sanitarne dla kobiet wiejskich, na których wykładać będą, jak jest zbudowane ciało człowieka, jak się należy chronić od chorób zakaźnych, jaką pomoc dać przy chorobach kobiecych, również o pielęgnowaniu noworodka, o chorobach uszu, gardła i oczu, higienie pożywienia i pomocy w nagłych wypadkach.

Kursa trwać będą do dn. 3 grudnia. Wykłady odbywać się będą w Sali Przemysłu Ludowego. Opłata wynosić będzie dla członkiń kół gospodyń kółek rolniczych i związków młodzieży 1500 mk., dla kobiet nienależących do żadnych z tych organizacji 2000 mk. Nocleg w Gospodzie Kółek Rolniczych opłata za dobę 180 mk. (z powodu drożyzny produktów w miesiącu należy zaopatrzyć się w żywność na cały przeciąg czasu).

Zapisy przyjmuje Sekcja Kół Gospodyń Wiejskich przy Centralnym Związku Kółek Rolniczych, Kopernika 30, parter, jak również udziela bliższych informacji o wyżej wymienionych kursach.

Na temat „Polska i jej dźwignie bytu“ wygłosi p. M. Cz. Przewóska w Tow. literatów i dziennikarzy (Bracka 5) cykl ośmiu wykładów o treści następującej: 1) Cud wskrzeszenia Polski w świetle jej praw do bytu. 2) Naród - Wykonawca. 3) Polski zakon życiowy i jego prawdy bezwzględne. 4) Prawdy katolicyzmu narodu polskiego i ich prawo postępu. 5) Nasz dziejowy humanitaryzm w wyrazie nowego komentarza do ducha dziejów Polski. 6) Polka-obywatelka na drogach czynu odrodzenia. 7) Mesjanizm polski a chwila obecna. 8) Mickiewiczowskie Związki Odrodzenia w organizacjach młodzieży polskiej. Wykłady z dyskusją, w poniedziałki i czwartki, g. 7 w. od d. 4 listopada. Zapisy od 4 — 7 w. w lokalu T-wa.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. M. Majewskiej w Stopnicy. Z prawdziwą radością przeczytaliśmy słowa Sz. Pani, „że wspaniałe są artykuły i wogóle „Bluszcz“ jest nadzwyczaj solidnie prowadzony“. Dziękujemy też najszerzej za życzenia, które są zawsze miłą zachętą do dalszej pracy.

Adres „Mojego Pisemka“ — Warszawa Nowy Świat № 35 — Księgarnia M. Arcta.

„Wicherkowski“ z Rawy Ruskiej. Serdeczną przyjemność sprawił nam list Sz. Pani i słowa pełne entuzjazmu i młodzieńczego zapału. — „Bluszcz“ służy chętnie radą swym czytelnikom. Prosimy o nadesłanie prób literackich i wspomnianego artykułiku. Zapytanie Pani w sprawie kosmetycznej skierowaliśmy do jednego z kierowników tego działu p. W. Klimickiego. Odpowiedź znajdzie Pani w dodatku mój w jednym z najbliższych numerów. — Czekamy dalszych zapytań.

TREŚĆ № 5-go.

Powrót! — przez Bożymira. Sprawa kobiet — urzędniczek — przez I. Pannenkową. Okres dojrzewania w życiu dziecka — przez A. Sobolewską. Pan Andrzej i Margrabia — przez Cezarego Łagiewskiego. Siostra Miriam — przez Wandę Miłaszewską. W podróż do Europy — przez Jadwigę Marciniowską. Tajna praca oświatowa w Warszawie, — przez Helenę Ceyssingerównę. Pożgonie Andrzeja Niemojewskiego — przez St. Podhorską-Okolów. Obchód Dantego — przez S. P. O. Kronika działalności kobiecej. Odpowiedzi redakcji. — Dodatek artystyczny. — Dodatek powieściowy p. t. „Furtka“ — przez Emila Bodrero, dokończenie i „Korepetytor“ — przez Teffi, przekł. W. B.

OD WYDAWNICTWA

Wobec nowych podwyżek cen papieru, druku i klisz prenumerata „Bluszczu“

za miesiąc LISTOPAD wynosić będzie Mk. 600.—

z odnoszeniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 2000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 175.—

Wszystkich P. P. prenumeratorów prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty i wyrównania.

REDAKCJA: Nowy-Świat 41. ☎ Telefon 105-22.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „Bluszczu“: Tow. Akc. „Reklama Polska“, Warszawa, Jasna 10, Biuro Ogłoszeń T. Pietraszek — Marszałkowska 115, L. i E. Metzl i Sp. — Marszałkowska 130, Biuro Dzienników S. Ungra — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „Nowa Reklama“, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 120.